

Od Giedroycia do Partnerstwa Wschodniego

W tym roku mija dwadzieścia lat od uzyskania przez Polskę suwerenności. Wraz z nią zyskaliśmy wreszcie także swobodę działań w polityce zagranicznej. Wymiar wschodni, z przyczyn historycznych i geograficznych, należał od początku do najważniejszych zagadnień tej polityki. „Nowa Europa Wschodnia” zwróciła się do wybitnych naukowców, analityków i publicystów zajmujących się problematyką Europy Wschodniej o ocenę dokonań polityki wschodniej III Rzeczypospolitej. Nadesłane głosy publikujemy w porządku alfabetycznym.

Powrót starych problemów?

Marek A. Cichocki

Jeśli oceniać ostatnie dwadzieścia lat pod kątem polskiej polityki wschodniej, uwagę zwraca potencjał, jaki się w niej zawiera. Polska z satelickiego tworu, przed 1989 rokiem uzależnionego od Kremla, zdołała przekształcić się w kraj, który potrafił nie tylko dopilnować swojej wschodniej granicy. Warszawa rozwinęła żywe relacje z nowymi wschodnimi sąsiadami, próbując ustabilizować ich świeżo odzyskaną niezależność do Moskwy. Punktem kulminacyjnym tego zaangażowania stała się pomarańczowa rewolucja na Ukrainie. Polska polityka wschodnia potrafiła także sięgnąć dalej, włączając w obszar poważnych działań Kaukaz, przede wszystkim Gruzję. Wejście do Unii obiektywnie otworzyło nowe możliwości w polskiej polityce wschodniej. Przykładem są tutaj szczyt Unia Europejska-Rosja w Samarze w maju 2007 roku czy polsko-szwedzka propozycja Partnerstwa Wschodniego.

Tym niewątpliwym sukcesom towarzyszą jednak uzasadnione obawy.

Po pierwsze, zwraca uwagę dalece niewystarczająca zdolność wykorzystania przez Polskę potencjału, który objawił się w ostatnim dwudziestoleciu w polityce wschodniej. Państwo polskie jest słabo obecne w Europie Wschodniej.

Po drugie, zaskakuje brak nowych, świeżych strategicznych impulsów w spojrzeniu na politykę wschodnią, co kłóci się z ogólnym przekonaniem o posiadaniu

przez Polskę szczególnych kompetencji w tym względzie. Pomimo pewnych interesujących dyskusji ostatnich lat, nasza polityka wschodnia wciąż obraca się wokół dawnych schematów i wyobrażeń.

Po trzecie, nadal nie przezwyciężono dualizmu między dobrym rozumieniem Wschodu a dobrym rozumieniem Unii Europejskiej, co przekłada się między innymi

Najbliższa przyszłość może unieważnić założenia polityki wschodniej ostatnich dwudziestu lat i będziemy patrzeć na ten okres jako na moment wyjątkowej, ale niewykorzystanej koniunktury dla naszych wschodnich relacji.

na niski poziom zrozumienia mechanizmów kierujących w Unii działaniami nakierowanymi na naszych wschodnich sąsiadów. Skutkiem tego nie potrafiłmy wykorzystać politycznej szansy, jaką dawało nam weto w sprawie nowej umowy Unia Europejska-Rosja. Dzisiaj podobnie może stać się z proponowanym Partnerstwem Wschodnim.

Po czwarte wreszcie, dynamiczne zmiany zachodzące w ostatnim czasie w Rosji oraz w Europie zmuszają do zastanowienia się, czy dotychczasowe osiągnięcia polskiej polityki wschodniej okażą się trwałe. Stabilność krajów bałtyckich wydaje się poważnie zagrożona. Wysiłki związania Ukrainy z Zachodem przynoszą niewielkie efekty. Sytuacja w Mołdawii staje się coraz bardziej niestabilna. A główni partnerzy polityki wschodniej w Unii Europejskiej – Niemcy i Francja, wydają się reprezentować skrajnie odmienny od polskiego punkt widzenia na politykę

wobec Rosji. Na horyzoncie amerykańskiej polityki wobec Kremla już rysuje się powrót do dawnego realizmu demokratów. Może się więc okazać, że najbliższa przyszłość unieważni podstawowe założenia polityki wschodniej ostatnich dwudziestu lat.

Nie można więc wykluczyć, że za jakiś czas będziemy patrzeć na ten okres jako na moment wyjątkowej koniunktury dla naszych wschodnich relacji – koniunktury, której nie potrafiłmy jednak przekształcić w bardziej trwałą zmianę.

Marek A. Cichocki – dyrektor programowy Centrum Europejskiego Natolin oraz redaktor naczelny pisma „Nowa Europa. Przegląd Natoliński”.



W elitarnym gronie

Sławomir Dębski

Z pojęciem „polityka wschodnia”, wprowadzonym do polskiego słownika politycznego przez Juliusza Mieroszewskiego i rozpropagowanym przez Jerzego Giedroycia, jest trochę tak, jak z przechowywanym na Wawelu Szczerbcem – mieczem koronacyjnym

Władysław Łokietka. Wykuty jako oręż, szybko utracił pierwotne przeznaczenie. Funkcje, jakie potem pełnił, ewoluowały przez wieki. Dziś jest muzealnym eksponatem i narodową pamiątką. Gdy Mieroszewski ogłaszał swoją ideę „polityki wschodniej”, była ona jedynie wizją publicysty, intelektualną prowokacją wobec tych, którzy wciąż zaklinali rzeczywistość, wierząc w „powrót na Kresy”. Jego koncepcja nie miała żadnych szans, by stać się polityką. Nie istniało polskie państwo, które mogłoby ją realizować.

Szesnaście lat później wiatr dziejów przewrócił porządek świata. Odrodzona, niepodległa i suwerenna Polska zaczęła na nowo kształtować swoje relacje z narodami Europy Wschodniej. Koncepcje Mieroszewskiego i Giedroycia stały się drogowskazem i głównym nurtem rozważań o tym, jak te relacje układać. Przez kilka lat o polityce wschodniej można było pisać bez używania cudzośliwu. Ale świat wokół Polski nie przestał się zmieniać. Rozpadło się sowieckie imperium, stanowiące zwornik koncepcji Mieroszewskiego. W Europie Wschodniej powstały suwerenne państwa, które w różny sposób określiły swoje aspiracje. Polska musiała dostosowywać swoją politykę do nowej sytuacji.

Po kilku latach minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski, przedstawiając w Sejmie informację o polityce zagranicznej rządu, musiał w końcu zrezygnować z omawiania polityki wschodniej w oparciu o schemat ULB (Ukraina, Litwa, Białoruś). Stwierdził: „Nie chciałem łączyć Litwy z Rosją, Ukrainą, Białorusią, bo dzisiaj Litwini są na to uczuleni. W związku z tym zrobiłem przedział czasowy i mówię o Litwie oddzielnie...”.

Wraz z rozpadem sowieckiego imperium przestał istnieć, tak ważny dla Mieroszewskiego, polityczny wspólny mianownik łączący narody Europy Wschodniej. Litwa, Łotwa i Estonia, aspirujące do struktur transatlantyckich i europejskich, zerwały związek z innymi narodami wschodniej części kontynentu. Schemat ULB stał się anachronizmem, a termin „polityka wschodnia” utracił łączność z polityczną praktyką. Stawał się stopniowo częścią polskiej intelektualnej mitologii. Ale z przyzwyczajenia, a może z nakazu nowej politycznej poprawności, każde polskie działanie wobec państw leżących we wschodniej części kontynentu wciąż pakowano do wspólnego worka „polityki wschodniej”. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych przez krótki czas istniał nawet Departament Polityki Wschodniej, choć państwo polskie już od dawna jej nie prowadziło. Cudzośliw znów stał się uprawniony.

Z upływem czasu koncepcje Mieroszewskiego i Giedroycia przestawały być gotowym przepisem na polską politykę wobec państw Europy Wschodniej, ale wciąż inspirowały myślenie o jej dalekosiężnych celach. Pod wpływem członkostwa w Unii Europejskiej i NATO przekształcały się w doktrynę polityczną, na której opierała się polityka i działania kolejnych rządów i kolejnych prezydentów. Głosi ona, że trwałe bezpieczeństwo w Europie zostanie zapewnione w rezultacie zharmonizowania rozwoju społeczno-gospodarczego w skali całego kontynentu. Innymi słowy, zbliżymy się do tego celu, gdy we wszystkich państwach Europy Wschodniej zostanie ustanowiony

**Koncepcje
Mieroszewskiego
i Giedroycia przestały
być gotowym przepisem
na polską politykę
wobec państw Europy
Wschodniej, ale wciąż
inspirują myślenie o jej
dalekosiężnych celach.**

porządek demokratyczny wynikający ze społecznych aspiracji i gdy wszystkie państwa zostaną członkami instytucji integracyjnych obejmujących cały kontynent. Ślady tej doktryny odnajdziemy w polskiej aktywności podczas pomarańczowej rewolucji, w misji prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi w sierpniu 2008 roku, a także w zgłoszonej wspólnie ze Szwecją inicjatywie Partnerstwa Wschodniego – pierwszym polskim pomysłem na politykę Unii Europejskiej w Europie Wschodniej, który uzyskał akceptację wszystkich członków Unii.

Koncepcję „polityki wschodniej” zaliczam do elitarnego grona wielkich idei, które zmieniły losy narodów. Przyczyniła się ona do deimperializacji polskiego myślenia o Europie Wschodniej, eliminując pokusę rewanżyzmu, co należy uznać za jedno z istotniejszych osiągnięć polskiej myśli politycznej.

Wraz z pojednaniem z Niemcami oraz uzyskaniem przez Polskę członkostwa w NATO i Unii Europejskiej, pozwoliła naszej polityce zagranicznej zaczerpnąć powietrza.

Sławomir Dębski – dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.



Nie byliśmy życzliwym recenzentem

Adam Eberhardt

Od kilkunastu lat nie utrzymujemy dialogu politycznego z pogrążoną w autokracji Białorusią. Ukraińskie władze, nawet jeżeli spoglądają jeszcze na Zachód, to raczej w stronę Berlina niż Warszawy. Zresztą sami nie do końca wiemy, czym wypełnić nasze strategiczne partnerstwo w obliczu wypalania się europejskich aspiracji Ukrainy. Mołdawia nie odgrywa żadnej roli w naszej polityce zagranicznej. Z kolei relacje z Gruzją, choć nadspodziewanie intensywne, są pozbawione realistycznie zdefiniowanej, pozytywnej agendy. Na domiar złego niezmiennie trwamy w sporze z Rosją, przejawiającym się nie tylko rywalizacją na obszarze Międzymorza, ale również niezdolnością do rozwiązania jakiegokolwiek spośród narosłych przez lata trudnych kwestii.

Powyższe fakty nie skłaniają do optymistycznej oceny dwudziestolecia polskiej polityki wschodniej. Jej niewielka skuteczność razi tym bardziej, że zaangażowanie na Wschodzie niezmiennie pozostawało jednym z filarów naszej polityki zagranicznej oraz cieszyło się wysoką aprobatą społeczną. Skąd więc taki mizerny rezultat? Przyczyn należy doszukiwać się nie tylko w błędach bądź zaniedbaniach polskiej dyplomacji, ale przede

wszystkim w obiektywnej słabości instrumentów, którymi dysponujemy, w stosunku do celów, jakie sobie stawiamy. Podstawowym bowiem, wręcz jedynym kryterium sukcesu polskiej polityki wschodniej jest efektywność procesu demokratyzacji, modernizacji i okcydentalizacji Europy Wschodniej. Wspieranie tego fundamentalnego celu nie zawsze sprzyja stanowczemu zabieganiu o realizację bardziej doraźnych interesów. Ale jego odrzucenie niosłoby jeszcze większe zagrożenia – znamieny jest tu przykład Rumunii, która wybierając „realizm” zamiast „prometeizmu”, spowodowała głębokie konflikty z sąsiednimi Mołdawią oraz Ukrainą, a w rezultacie trwale zredukowała swój wpływ na region czarnomorski.

W przypadku wszystkich państw wschodnioeuropejskich rezultaty transformacji są rozczarowujące. Nie nasza to – rzecz jasna – wina, choć wątpliwe jest, czy właściwie zdefiniowaliśmy swoją rolę jako adwokata państw regionu. Może zamiast bezkrytycznie wspierać władze w Kijowie czy Tbilisi, lepiej byśmy się im przysłużyli, przyjmując rolę życzliwego, acz wymagającego recenzenta? Jeden z najświeższych przykładów dotyczy Gruzji: choć byliśmy głównym orędownikiem uchylecia przed nią drzwi do NATO, to w sierpniu 2008 roku nie dysponowaliśmy wystarczającymi wpływami, aby odwieść prezydenta Micheila Saakaszwilego od działań, które zatrzasknęły te drzwi na lata.

Za najbardziej spektakularne osiągnięcie polskiej polityki wschodniej słusznie uznaje się skuteczną mediację w czasie kryzysu w Kijowie w 2004 roku. Oprócz niekwestionowanego sukcesu, jakim było zachowanie na Ukrainie instytucji wolnych wyborów, pomarańczowa rewolucja przyniosła głównie rozczarowania. Doświadczenie to wskazuje, że pozostając wiernymi misji wspierania przemian cywilizacyjnych u sąsiadów, musimy wyzbyć się nadziei na szybkie efekty. W wariacie optymistycznym do zintegrowania najbardziej zaawansowanych państw wschodnioeuropejskich z Unią Europejską potrzeba następnych dwudziestu lat. Naszą specjalnością nie mogą być więc konferencje poświęcone domniemanym korzyściom z ewentualnego przyznania zapóźnionemu regionowi „perspektywy członkostwa”, lecz konkretne projekty, które będą stopniowo rozszerzać sieć społecznych i gospodarczych, a z czasem politycznych powiązań wschodnich sąsiadów z Unią. Przerobiony przez Polskę na forum Unii Europejskiej projekt Partnerstwa Wschodniego tworzy spójne podwaliny takiej polityki, do której w najbliższych latach trzeba będzie konsekwentnie zjednywać sobie w Europie sojuszników.

Rezultaty transformacji państw wschodnioeuropejskich są rozczarowujące. Nie nasza to wina, choć wątpliwe jest, czy właściwie zdefiniowaliśmy swoją rolę jako adwokata państw regionu.



Ciągle prowincjonalni

Włodzimierz Marciniak

Niezmiernie trudno jest podsumować dwudziestoletni dorobek polskiej polityki wschodniej. W tym czasie dokonało się wiele doniosłych wydarzeń – najpierw rozpad sowieckiego imperium i w rezultacie odzyskanie wolności przez wiele narodów tej części świata, wycofanie z Polski rosyjskich wojsk, a następnie rozszerzenie Paktu Północnoatlantyckiego i Unii Europejskiej, zapowiadające dalsze umacnianie Europy na Wschodzie. Ten epokowy przełom był skutkiem niezwyklej splotu okoliczności, który tylko częściowo odnosi się do sfery świadomej polskiej polityki, a w znacznym stopniu wynikał z przyczyn od nas niezależnych. A o sukcesach, względnie o porażkach, możemy mówić tylko wtedy, gdy mamy twórczy wpływ na rozwój wydarzeń.

Rozpad sowieckiego imperium oznaczał nie tylko dezintegrację potężnego systemu gospodarczego, politycznego i militarnego, ale także rozbitcie kontekstów polityki w tej części świata. Wiele krajów po dziś dzień ponownie ich nie scalilo, o czym mogą świadczyć głośne słowa porównujące rozpad Związku Sowieckiego do największej katastrofy geopolitycznej XX wieku. Dlatego najważniejszym problemem polskiej polityki wschodniej było poradzenie sobie z problemem „rozbitych kontekstów” polityki i właśnie w tej dziedzinie jestem skłonny szukać największych osiągnięć lub błędów. Z racji swoich zainteresowań naukowych i analitycznych oraz skromnego doświadczenia praktycznego ograniczę się jedynie do dwóch kwestii, odnoszących się do stosunków polsko-rosyjskich, z nadzieją, że dopełnią one wypowiedzi innych uczestników ankiety.

Za najważniejszy w tych stosunkach uważam problem mentalny, który można określić jako kompleks imperialny. Polska przez lata była prowincją imperium, chociaż jej status był historycznie zmienny. Ukształtowało się naturalne w tej sytuacji przeświadczenie o stałym zagrożeniu ze strony rosyjskiej i towarzyszące mu przekonanie, że imperium zawsze reprezentuje względem Polski siłę, potęgę, wręcz moc. W kompleksie imperialnym poczucie zagrożenia przeplata się ze stałą gotowością do liczenia się z interesami Moskwy. W wymiarze praktycznym kompleks ten przybrał postać doktryny, podzielanej przez większość polityków, którą Stanisław Ciosek ubrał w słowa „z koniem nie należy się kopać”. Cechą charakterystyczną tej polityki jest to, że wyraża ona z pogardy, jaką prowincjusz czuje wobec konia, czyli imperium, i to właśnie ta pogarda służy za uzasadnienie ustępstw. Stąd też biorą się w naszej polityce dziwne melange. Ci sami ludzie, którzy negocjowali projekt pozostawienia w Polsce baz wojsk rosyjskich w postaci firm z kapitałem mieszanym, proponowali jednocześnie, żeby prezydent Lech Wałęsa zamieszkał podczas wizyty w Rosji w sanktuarium ro-

syjskiego prawosławia – Ławrze Troicko-Siergiejewskiej. Politycy państwa, które jest moralnym i politycznym zwycięzcą ubiegłowiecznej walki z imperium, z drzeniem w głosie porównywali swoją wizytę na Kremlu z... 1612 rokiem!

Prowincję poznaje się nie tylko po kompleksie niższości, ale także po tym, że orientuje się ona na centrum, w tym wypadku na Moskwę, a nie na peryferie imperium. Stąd też bierze się tendencja moskwocentryczna, a właściwie proautorytarna w polskim dyskursie politycznym. Przejawiała się ona w stałym oczekiwaniu, że na miejscu „słabego” Borysa Jelcyna pojawi się w końcu w Moskwie wymarzony dzierżymorda, a gdy urząd prezydenta objął najwykleszy medialny blagier, czołowe ośrodki opiniotwórcze w Polsce zaczęły powszechnie i z pokorą nazywać go carem. Na tym tle sukcesem polityki wschodniej było każde odejście od metod działania wyznaczonych przez kompleks prowincji. Na szczęście można wymienić wiele przykładów takich odstępstw, ale poprzestanę na jednym. Wielkim osiągnięciem było dostrzeżenie ogromnej szansy, jaka tkwiła w procesie nowej instytucjonalizacji społecznej na Ukrainie i zaowocowała naruszeniem autorytarnej ewolucji tamtejszego systemu politycznego, tak charakterystycznej dla większości państw postsowieckich.

Pośród wielu wydarzeń w stosunkach polsko-rosyjskich wymienię tylko jedno, które moim zdaniem najbardziej zasługuje na miano błędu. W 1992 roku rosyjska strona prezydencka wpadła na pomysł, by toczący się w Moskwie proces w sprawie legalności rozwiązania partii komunistycznej przekształcić w proces norymberski nad komunizmem, przez poszerzenie jego zakresu o zbrodnie, jakich dopuściła się sowiecka partia komunistyczna wobec innych państw. W zamian za przyłączenie się do tego procesu Polski ówcześni dysponenci Archiwum Prezydenckiego oferowali ujawnienie wszystkich dokumentów dotyczących stosunków sowiecko-polskich od 1917 roku aż po czasy najnowsze. Na pewno strona rosyjska chciała nas wciągnąć w wewnętrzny konflikt polityczny, w toku którego łatwo mogła nastąpić zmiana stanowiska. Z drugiej zaś strony niewiele ryzykowaliśmy, gdyż Jelcyn był prezydentem do 31 grudnia 1999 roku, a możliwość dostępu do archiwów posiada dla nas samą wartość. Jednak strona polska tej gry nie podjęła, z góry rezygnując z lepszego zrozumienia charakteru stosunków polsko-sowieckich, a przede wszystkim struktur imperialnej podległości. No właśnie, była szansa twórczego wpłynięcia na rozwój wydarzeń, ale wybraliśmy w ten sposób trwanie w szarym cieniu imperium.

Sukcesem polityki wschodniej było każde odejście od metod działania wyznaczonych przez kompleks prowincji.



Ile miodu, ile dziegciu

Zdzisław Najder

Nagany:

**Koncepcja Partnerstwa
Wschodniego,
znakomita w założeniach
i wyjątkowo udana
w wykonaniu, może
odegrać przełomową
rolę.**

1. Najgorsze, niewybaczalne: spóźnienie się z uznaniem niepodległości Litwy. Tylko Polska tworzyła z tym krajem jedno państwo przez cztery wieki, a była dopiero dwudziestym trzecim państwem, które Litwę uznało. Dzień wcześniej niż ZSRR(!), ale po Włoszech, Wielkiej Brytanii i Hiszpanii, po Niemczech i Francji. To plama na

naszym historycznym honorze, tym ciemniejsza, że spowodowana tylko strachem przed Moskwą i brakiem wyobraźni. Bardzo niezręczny początek nowego etapu wzajemnych stosunków, który przez lata rzucał na nie cień.

2. Zmarnowanie okazji do zacieśnienia kontaktów podczas pierwszych lat niepodległości Białorusi. A potem wieloletnia bierna bezradność wobec tego, co działo się pod rządami Aleksandra Łukaszenki. Dopiero w ciągu ostatnich trzech lat rozpoczęto spóźnione działania w dziedzinie przekazywania informacji społeczeństwu białoruskiemu.

3. Ogólna nieumiejętność dostosowania posiadanych środków do deklarowanych celów. Albo inaczej: brak przetworzenia słusznej ideologii polityki wschodniej na praktyczne działania. A jeszcze inaczej: niezdolność do przełożenia dalekosiężnych celów na język strategii i taktyki.

4. W ciągu ostatnich paru lat pusta deklaratywność wobec Ukrainy. Niezdolność do oddzielenia tego, co popieramy bezwarunkowo (niepodległość Ukrainy, jej demokratyczny ustrój), od tego, co powinniśmy oceniać i poddawać krytyce (chaos prawny, panoszenie się oligarchów, wszechobecna korupcja, schlebienie szowinistom przez prezydenta Wiktora Juszczenkę, brak osądzania własnej przeszłości). Skutek: nasze poparcie dla „europejskiego wyboru” Ukrainy wcale jej nie pomogło, działało raczej usypiająco niż zachęcająco. Ostatnio kryzys „gazowy” ujawnił niezborność ukraińskich organów wykonawczych i bezwład organów ustawodawczych.

5. Nieśmiałość w przypominaniu o historycznych związkach ziem litewskich, białoruskich i ukraińskich z Polską. Jakby to było coś wstydliwego.

Pochwały:

1. Polska jako pierwsza uznała niepodległość Ukrainy. Nie był to akt oczywisty, jeżeli pamięta się o sprawie Litwy i wyraźnej niechęci naszego MSZ. Zdecydował premier Jan Krzysztof Bielecki, mimo oporów prezydenta Lecha Wałęsy, który trzy

dni później wyrażał, zapewne natchniony przez Amerykanów, obawy przed rozpadem ZSRR.

2. Interwencja Rzeczypospolitej podczas kryzysu pomarańczowej rewolucji. Aleksander Kwaśniewski umiał wykorzystać swoje (skądinąd wątpliwej jakości) kontakty z prezydentem Leonidem Kuczumą oraz pobudzić do współdziałania Javiera Solanę i Komisję Europejską.

3. Koncepcja Partnerstwa Wschodniego, znakomita w założeniach i wyjątkowo udana w wykonaniu. Zarysowany program jest dość pojemny, by wzmacniać szanse na przyszłą integrację z Unią Europejską tych państw, które zdecydują się o nią postarać; a zarazem na tyle elastyczny, by nie wytwarzać na starcie nowych podziałów. Współdziałł Szwecji, państwa o wyjątkowych doświadczeniach i autorytecie w działaniach międzynarodowych, był nowalijką w naszych poczynaniach. Partnerstwo Wschodnie może odegrać przełomową rolę.

Zdzisław Najder – były dyrektor Radia Wolna Europa, publicysta.



Niepraktyczna i chaotyczna

Jan Piekło

Polityka wschodnia III Rzeczypospolitej charakteryzuje się brakiem konsekwencji oraz chroniczną niemożnością sformułowania strategicznej wizji dotyczącej roli Polski w regionie i w Unii Europejskiej.

Politykę ową kształtowały na przemian trudne doświadczenia z niezbyt odległej historii oraz mity zbudowane na romantycznych wyobrażeniach dotyczących kolorowych rewolucji w krajach byłego Związku Sowieckiego (w szczególności pomarańczowej rewolucji 2004 roku na Ukrainie). Mimo że Polacy sami doświadczyli rozłamu w demokratycznej opozycji, która po rozmowach Okrągłego Stołu stopniowo przejmowała władzę (sławna „wojna na górze”), nie potrafili tych doświadczeń przełożyć na wymiar budowania swojej polityki w stosunku do krajów Europy Wschodniej. Z tego też powodu miała ona charakter życzeniowy i mało praktyczny.

Z chwilą wejścia Polski do Unii Europejskiej Warszawa nie wykorzystała szansy na odegranie roli sąsiada skutecznie wspierającego demokratyczne aspiracje państw byłego Związku Sowieckiego, a jednocześnie lobbującego na ich rzecz w unijnych stolicach. Epizodem, który stanowił krok we właściwym kierunku, było zaangażowanie się Polski i jej prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego w mediacje podczas wydarzeń

Stosunki ze wschodnimi sąsiadami miały charakter bilateralny, zabrakło perspektywy całościowej, regionalnej. Zwłaszcza w ważnym regionie basenu Morza Czarnego, gdzie od niedawna przebiega granica Unii Europejskiej.

pomarańczowej rewolucji na Ukrainie. Niestety, nie poszły za tym dalsze wysiłki, które mogłyby spowodować wypracowanie strategicznej wizji polskiej polityki wschodniej. Warszawa wolała skupić się na bezpośrednim wspieraniu mniejszości polskiej na Białorusi czy wprowadzaniu Karty Polaka. Rezultatem takich działań było stworzenie w społeczeństwach za wschodnią granicą podziału na „naszych” – uprzywilejowanych i lepszych, oraz „obcych” – tych gorszych, co od razu zostało wykorzystane przez nieżyczliwych (w tym Kreml) do „zdemaskowania prawdziwych intencji” polskiej polityki. Znacznie skuteczniejsze i mające wsparcie Brukseli mogły być działania nie skierowane bezpośrednio na obronę polskiej mniejszości na Białorusi, ale nastawione na długofalowy plan promowania praw człowieka i obywatela (w tym oczywiście mniejszości etnicznych).

W polskiej polityce wschodniej zabrakło także praktycznego elementu systematycznego i konsekwentnego wspierania polskich firm na rynkach krajów byłego Związku Sowieckiego, co uniemożliwiło skuteczne wykorzystanie

potencjału polskich przedsiębiorców (zwłaszcza ich dobrej znajomości zwyczajów i gospodarki tamtych krajów).

Wizja budowania stosunków z sąsiadami zza wschodniej granicy miała raczej charakter bilateralny, zabrakło w niej perspektywy całościowej, zorientowanej na współpracę regionalną (zwłaszcza w krytycznie ważnym regionie basenu Morza Czarnego, gdzie od niedawna przebiega nowa granica Unii Europejskiej). Nową szansą dla Polski może stać się zgłoszona wspólnie ze Szwecją inicjatywa Partnerstwa Wschodniego, która spotkała się z zainteresowaniem krajów nią objętych i poparciem Brukseli. Działania w ramach Partnerstwa Wschodniego (które właściwie stanowi twórczą kontynuację Europejskiej Polityki Sąsiedztwa) powinny jednak uwzględniać całość bardzo złożonej sytuacji w krajach za wschodnią granicą UE, by móc skutecznie reagować na pojawiające się tam nowe zagrożenia wynikające z pogłębiającego się kryzysu gospodarczego i politycznego oraz neoimperialnych trendów w polityce Rosji. Warto w tym miejscu przypomnieć pogląd wybitnych polityków i intelektualistów: Jerzego Giedroycia i Zbigniewa Brzezińskiego, zakładający, że niepodległa i demokratyczna Ukraina to gwarancja bezpieczeństwa i stabilności w Europie. To zdanie powinno stać się osnową konstruowania polskiej i europejskiej polityki wschodniej. Można jeszcze dodać, że taka Ukraina stanie się punktem wyjścia do uruchomienia procesów demokratycznych w Rosji.



Niezbędnik

Jerzy Pomianowski

Zamiast wywodów, które nie zmieściłyby się na ciasnej przestrzeni wyznaczonej dla tej ankiety, przytoczę jedynie skromny zestaw podręczny, rodzaj niezbędnika wskazań, z którym nie powinien rozstawać się żaden działacz czy publicysta (czyli polityk bez teki), wkraczając na teren naszej polityki wschodniej. Ów zestaw to krótki zbiór cytatów z pism Juliusza Mieroszewskiego, który nadał kształt koncepcji Jerzego Giedroycia na łamach paryskiej „Kultury”.

Wskazania te spotkał osobliwy los. Z jednej strony uchodzą one za skład zasad od dwudziestu lat stosowanych przez kolejne polskie rządy wobec wszystkiego, co dzieje się za naszą wschodnią granicą. Mówiąc wyrozumiale, jest to twierdzenie na wyrost. Stosowano je niekonsekwentnie; przeważała taktyka tak zwanego minimalizmu, to znaczy niewtrącania się. Z drugiej jednak strony owe tezy uznają za zabytkowe i nieaktualne (a zatem zbędne) nie tylko ich wrogowie, lecz również wczorajsi piewcy i wyznawcy. I jedni, i drudzy twierdzą w przypływach łaskawości, że koncepcja Giedroycia i Mieroszewskiego należy do kategorii romantycznych, prometejskich rojeń polskich, co w ustach przeciwnika jest wyrokiem, zaś w ustach wyznawcy zamienia się w westchnienie rezygnacji.

Ponieważ uważam koncept Giedroycia za owoc nie rojeń, ale trzeźwej i celnej rachuby, całkowicie i diametralnie odmiennej od tradycyjnych polskich recept na zbawienie, odsyłam ciekawych uzasadnienia tej tezy do sprawdzenia w 637 zeszytach „Kultury” głosów ewokujących takie kwestie, jak warunki odzyskania **trwałej, nie zaś dwudziestoletniej** niepodległości przez Polskę, rola ULB, a zwłaszcza Ukrainy w tym dziele, sprawa suwerenności energetycznej – po raz pierwszy na ich właśnie łamach tak nazwanej i uwypuklonej. Kto zechce, znajdzie wśród tych głosów opinie niżej podpisanego, zebrane później w tomach *Biegun magnetyczny*, *Ruski miesiąc z hakiem*, *Na wschód od zachodu*, *Wybór wrażeń*. Ale pierwszeństwo mają tu owe elementarne wskazania, które warto za Mieroszewskim przytoczyć.

Oto najprostsze z tych cytatów:

- Rosja, w analogii do innych mocarstw, przestanie być imperialna, gdy straci imperium.
- Pierwszym punktem polskiej polityki wschodniej winno być uznanie prawa do samostanowienia i niezależnego bytu państwowego wszystkich narodów cięmiężonych przez Sowiety. Z polskiego punktu widzenia punkt ów w szczególności dotyczy Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnie parcelacji Rosji. Rosjanie mają prawo do swojej ziemi, tak jak każdy inny naród, i gdyby ziemiom rdzennie rosyjskim groził zabór, Rosjanie mieliby prawo oczekiwać pomocy nawet od nas.
- Gdybym był rosyjskim imperialistą, pocieszałbym się przypuszczeniem, że w razie wojny czy poważnego konfliktu jest mało prawdopodobne, aby narody ciemiężone przez Sowiety utworzyły wspólny front... Sądziłbym, że Polacy, Ukraińcy, Litwini – jak tylko uwolnią choćby jedną rękę – raczej chwycą się nawzajem za gardła, co umożliwi Moskwie częściowe opanowanie sytuacji.

Brakiem polskiej polityki wschodniej w ubiegłym dwudziestoleciu było traktowanie koncepcji Giedroycia jako zabytku epoki jałtańskiej, a nawet zawalidrogi na szlaku dobrych interesów z Rosją.

• Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom oraz – co równie ważne – sami musimy raz na zawsze zrezygnować z Wilna, Lwowa i jakiegokolwiek polityki czy planów, które zmierzałyby do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem wyżej wymienionych narodów.

• Tak Polacy, jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nieimperialistyczna Rosja i nieimperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych sto-

sunków... Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu.

- Jest bezbrzeżną naiwnością przypuszczać, że imperialistyczna Rosja zgodzi się na jakiegokolwiek negocjacje, które miałyby na celu zabezpieczenie nas przed rosyjskim imperializmem.
- Rosja w polskiej perspektywie politycznej stanowi taki superproblem, że jako naród nie możemy pozwolić sobie na pięć czy sześć różnych programów wschodnich...

Chociaż tezy te powstały jeszcze przed rozpadem ZSRR, sądzę, że wystarczy tych paru zdań, aby dojść do wniosku, że nie jedynym, lecz podstawowym brakiem polskiej polityki wschodniej w ubiegłym dwudziestoleciu było traktowanie koncepcji Giedroycia nie jako stałego drogowskazu i zwornika strategii państwowej, lecz jako zabytku epoki jałtańskiej, a nawet zawalidrogi na szlaku dobrych interesów z Rosją. Dopiero ofensywa Gazpromu uświadomiła nam, że potrzebna jest podwójna garda: prócz solidarności UE (nieosiągalnej zresztą bez podpisania traktatu lizbońskiego), także osłona przed bezpośrednim naciskiem i groźbą przemocy ze strony hegemonna ze Wschodu. Jedynie zachowanie przez Ukrainę niepodległości i jedności pozwala na utrzymanie sytuacji geopolitycznej, jakiej Polska nie miała od trzystu lat. To na nią liczył Giedroyc. Od dwudziestu lat obywatele III Rzeczypospolitej wresz-

cie nie czują się jak w imadle. Od zachodu mamy zespół sojusznicy, zawiązany dla rozstrzygnięcia sporów tylko polubownie. Od wschodu – dwa realnie samodzielne podmioty polityczne. Większy z nich, Rosja, ma wybór: być lojalnym i prosperującym partnerem **całej** UE, albo stać się hegemonem kontynentu na gruzach Unii. To ostatnie bezwzględnie wymaga wchłonięcia Ukrainy z jej rurociągami, portami i zachodnią granicą. Na czym zatem polega interes narodowy Polski, wydaje się być jasne. *Caveant consules*.

Jerzy Pomianowski – pisarz, tłumacz,
publicysta, redaktor naczelny „Nowej Polszy”.



Słuszna ale pusta

Maria Przełomiec

Największym sukcesem, jak i największą porażką polskiej polityki wschodniej jest ona sama. To zdanie tylko pozornie brzmi jak paradoks. Polityka wschodnia jest sukcesem dlatego, że niemal od razu jasno zostały określone jej priorytety: zdecydowane wspieranie suwerenności, demokracji i prozachodnich dążeń naszych wschodnich sąsiadów, nawet kosztem gorszych stosunków z Moskwą.

Stało się tak mimo początkowych wahań i prób uprawiania dyplomacji dwutorowej, polegającej na utrzymaniu równie dobrych kontaktów z Rosją, jak i z pozostałymi państwami Europy Wschodniej, bez preferowania którejkolwiek ze stron. Efektem tego, co niektórzy nazywali kontynuowaniem linii paryskiej „Kultury”, stał się fakt, że to Polska jako pierwsze państwo uznała niepodległość Ukrainy i że to głównie dzięki wysiłkowi polskich polityków Zachód zaangażował się w poparcie ukraińskiej pomarańczowej rewolucji. Miało to znaczenie nie tylko dla samej Ukrainy, ale wywarło także trudny do przecenienia pozytywny wpływ na stosunki dwustronne.

Pochodną tych priorytetów jest próba prowadzenia wspólnej regionalnej polityki energetycznej dążącej do dywersyfikacji dostaw ropy i gazu (sprawa niesłychanie istotna, zważywszy, że Rosja używa swoich surowców jako instrumentów do osiągnięcia politycznych korzyści w regionie). Również w tych priorytetach można widzieć początki przyjętego przez Unię Europejską Partnerstwa Wschodniego, czyli polsko-szwedzkiego projektu mającego pomóc republikom byłego ZSRR w zbliżeniu do

Brak zgodnej, uzupełniającej się współpracy, niezależnej od zmian na szczytach władzy, to największa słabość polskiej polityki wschodniej.

Unii Europejskiej. W tej sytuacji za największą klęskę polskiej polityki wschodniej należy uznać to, że często słusznych ram nie wypełnia przemyślany i konsekwentnie realizowany program.

W kwestiach integracji z Zachodem wszyscy politycy, niezależnie od opcji, mówili jednym głosem i konsekwentnie dążyli do celu, czyli członkostwa Polski w Unii Europejskiej i NATO. W sprawie polityki wschodniej, mimo zasadniczej zgody co do wyznaczonych priorytetów, brak tej jednomyślności i konsekwencji, być może dlatego, że sprawa jest trudniejsza i wymaga większych dyplomatycznych zdolności, umiejętnego balansowania, tak aby strategiczny priorytet, czyli integracja krajów Europy Wschodniej z Zachodem, został osiągnięty, a jednocześnie Rosja nie mogła przyprawiać Warszawie gęby „chronicznego rusofoba”. Z taką łątką trudniej nam promować w Unii wschodnioeuropejskie interesy, walczyć zarówno z zachodnim wygodnictwem, jak i prorosyjskim lobby. Co więcej, prowadzenie skutecznej polityki wschodniej wymaga stałego jej uaktualniania, które jednak musi wpisywać się w stałą strategię, a nie być wynikiem podejmowanych *ad hoc* decyzji.

Jest to zadanie bardzo trudne i dlatego wymagające idealnej współpracy wszystkich polskich ośrodków władzy, wspomaganych stałym, a nie zmieniającym się zależnie od koniunktury gronem doradców. Brak tej zgodnej, uzupełniającej się współpracy, kontynuowanej niezależnie od zmian na szczytach władzy, uważam za największą słabość polskiej polityki wschodniej.

Maria Przełomiec – dziennikarka, redaktorka Studia Wschód TVP Info.



Stare wyzwania – nowe odpowiedzi

Adam Daniel Rotfeld

Czas – odmierzany latami – który upłynął od odzyskania przez Polskę pełnej suwerenności w roku 1989, jest porównywalny do okresu, jaki historia wyznaczyła II Rzeczypospolitej w latach międzywojennych na kształtowanie niepodległego, odrodzonego państwa. Nieporównywalne są jednak warunki, okoliczności i środowisko międzynarodowe, w którym realizowana była polityka wschodnia Polski. Inne są Niemcy. Inna jest Rosja. Co więcej – terytorium Polski jest to samo i znajduje się w tym samym miejscu, w jakim było po ustanowieniu nowych granic z sąsiadami po zakończeniu II wojny światowej, jednak nie przetrwało w niezmienionej formie żadne z państw sąsiadujących z Polską: rozpadł się Związek Radziecki na wschodzie, zjednoczyły się Niemcy na zachodzie, podzieliła się Czechosłowacja

cja na południu. Zamiast trzech sąsiadów mamy siedmiu i każdy z nich jest nowy. Nasza polityka wschodnia była adresowana głównie do trzech państw – Ukrainy, Białorusi i Rosji.

Myśli Juliusza Mieroszewskiego i Jerzego Giedroycia zaprezentowane na łamach paryskiej „Kultury” stały się w istocie podstawą strategii nowej polskiej polityki wschodniej. Kluczowe w tej mierze były trzy zasady.

Po pierwsze, natychmiastowe uznanie i wspieranie niepodległości oraz suwerenności – po rozpadzie ZSRR – trzech byłych radzieckich republik bezpośrednio graniczących z Polską: Ukrainy, Białorusi i Litwy. Do rangi symbolu urasta fakt, że Polska była pierwszym krajem, który uznał *de iure* Ukrainę jako niepodległe państwo – podmiot prawa międzynarodowego.

Po drugie, uznanie bez zastrzeżeń granic i ułożenie na płaszczyźnie politycznej i prawnej dobrosąsiedzkich stosunków. Ze względów politycznych i psychologicznych nie było to proste ani łatwe, jeśli zważyć, że Polska utraciła na wschodzie ponad 40 procent swego przedwojennego terytorium, a konflikty narodowe, masowe zbrodnie i czystki etniczne na Wołyniu i Podolu w końcowej fazie II wojny światowej pozostawiły w sercach milionów Polaków przesiedlonych z Kresów Wschodnich do dziś niezagojoną ranę.

Po trzecie wreszcie, ustanowienie równoprawnych partnerskich stosunków z nową Rosją. Wyrazem nowego typu relacji były wyniki wizyty pierwszego prezydenta Rosji Borysa Jelcyna w Warszawie w końcu sierpnia 1993 roku.

Te nowe założenia i kierunki polskiej polityki wschodniej były zdefiniowane i realizowane przez pierwszy niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Skubiszewskiego, których bezdyskusyjną zasługą jest zbudowanie podwalin nowej polityki Polski wobec wschodnich sąsiadów. Żaden z rządów obranej polityki nie zakwestionował. Innymi słowy, dorobkiem polityki wschodniej III RP jest realizacja przez kolejne ekipy koncepcji ULB, sformułowanej przez Mieroszewskiego i Giedroycia.

Największym osiągnięciem w tej mierze było skuteczne wsparcie demokratycznego procesu przemian na Ukrainie jesienią 2004 roku. Rola, jaką Polska odegrała w krytycznych listopadowych dniach, była świadectwem politycznej dojrzałości, odpowiedzialności i umiejętności pozyskiwania sojuszników. Prezydent Aleksander Kwaśniewski mógł zostać mediatorem między skonfliktowanymi stronami na ukraińskiej scenie politycznej (Juszczenko-Janukowycz-Kuczma) z kilku względów: miał poczucie szerokiego poparcia społecznego i wszystkich sił politycznych ponad podziałami partyjnymi w Polsce; był traktowany jako wiarygodny i uczciwy pośrednik przez głównych aktorów politycznych Ukrainy; pozyskał dla swoich działań mediacyjnych Unię Europejską, Radę Europy, OBWE; nie dążył do realizacji celów partykularnych i uzyskania specyficznych korzyści dla Polski. Celem było uznanie prawdziwego wyniku wyborów, jakich dokonało społeczeństwo Ukrainy,

Nie udało się ułożyć między Warszawą a Berlinem oraz Warszawą a Moskwą lepszych stosunków, przynajmniej równie dobrych jak te, które rozwijają między sobą Rosja i Niemcy.

zapobieżenie użyciu siły i przelewowi krwi oraz ułatwienie rozwiązania kryzysu w ramach procesu politycznego. Cele te zostały zrealizowane. Były świadectwem podmiotowości państwa polskiego i zdolności do korzystnego dla Europy i Ukrainy wpływania na rozwój wypadków. Sprawą odrębną jest ocena tego, czy i w jakiej mierze sukces ten został wykorzystany w następnych latach. Pewne jest jedno, że skuteczność naszej polityki w latach 2004-2005 otworzyła drogę i ułatwiła przyjęcie przez Unię polsko-szwedzkiej inicjatywy Partnerstwa Wschodniego.

Nie znaczy to, że polityka wschodnia III RP była pasmem sukcesów. Doznaliśmy wielu niepowodzeń. Największym rozczarowaniem z mojej perspektywy było to, że nie udało się ułożyć między Warszawą a Berlinem oraz Warszawą a Moskwą lepszych stosunków – przynajmniej równie dobrych jak te, które rozwijają między sobą Rosja i Niemcy. Przyczyny tego są złożone. Nie na ostatnim miejscu wymienilibym brak dostatecznej woli politycznej ze strony naszego wschodniego partnera. Jego podejście do Polski jest obciążone anachronicznym postrzeganiem Europy, w której stosunki nadal miałyby być kształtowane według dziewiętnastowiecznej koncepcji „koncertu mocarstw”.

Najważniejszą lekcją minionego dwudziestolecia jest uświadomienie sobie, że polityka jest skuteczna, jeśli znajduje zrozumienie i poparcie własnego społeczeństwa oraz naszych sojuszników i partnerów; jeśli nie jest wyrazem kompleksów (obojętne – wyższości czy niższości) i zaściankowości, lecz jest definiowana i realizowana na miarę potrzeb, oczekiwań oraz możliwości dzisiejszych i przyszłych pokoleń.

Adam Daniel Rotfeld – dyplomata, były minister spraw zagranicznych, współprzewodniczący polsko-rosyjskiej grupy do spraw trudnych.



Skuteczna improwizacja

Bartłomiej Sienkiewicz

Tego się nie da zrobić. Ankieta rozpisana przez Redakcję zmusza do uogólnienia sądów do poziomu wykluczającego rzetelność bądź operowania błyskotkami, bez powagi przynależnej tematowi. Wolę to drugie, stąd garść zdarzeń, sylwetek i idei, wywoływanych jak na badaniu u psychologa („Z czym kojarzy się panu ten rysunek? Proszę szybko i bez zastanowienia” – „Z polityką wschodnią, panie doktorze...”).

Wydarzenie. To pierwsze i zasadnicze, z którym tak łatwo się oswoiliśmy – odzyskanie niepodległości. Prawdę mówiąc, przytrafiło się to wszystkim narodom Europy Środkowo-Wschodniej, ale Polakom przyniosło jeszcze jedną rzecz – poczucie, że mieliśmy rację, zakładając „Solidarność”, knując w podziemiu i robiąc jeszcze wiele podobnych rzeczy, wbrew czasom i logice sił. To dodało polskiej polityce wschodniej w pierwszych latach skrzydeł, nimbu „przewagi moralnej”, bardzo pomocnej w rozładowywaniu napięć z sąsiadami i forsowaniu swoich racji. Ale już nie działała.

Człowiek. Starszy pan w muszce, jak z robotniczo-chłopskich wyobrażeń o dyplomacie, mówiący w nieco śmieszny sposób i śmiertelnie poważny zarazem. Krzysztof Skubiszewski stworzył podwaliny dla całej późniejszej epoki. Jego obsesję na punkcie jak najszybszego uregulowania traktatowego stosunków z sąsiadami (poza Litwą, gdzie się Panu Ministrowi trochę „omskło”) można docenić z perspektywy lat późniejszych, gdy Borys Jelcyn oparł się już na *siłowikach*, Ukraina Leonida Kuczmy zdawała się chytrzejsza od wszystkich dookoła, a *bat’ka* Łukaszenka zaczął swój sowiecki taniec. No i rzecz fundamentalna: przekonanie Pana Ministra, że miejsce Polski jest na Zachodzie i od siły tych związków zależy nasza zdolność do efektywnego działania w polityce wschodniej. Nieprzemijające.

Idea. Jakże by inaczej: jagiellońsko-giedroyciowsko-solidarnościowa. W skrócie rzecz ma się tak: my was popieramy, jeśli chcecie dołączyć do Zachodu i odciąć się od brzydkiej Rosji. Jak się nie odcinacie albo nie bardzo chcecie na ten Zachód, popieramy was dalej. Dlaczego? Bo tacy już jesteśmy. Jedyny przypadek w dziejach, gdy charakter narodowy stał się doktryną państwową. Ba, praktyką polityczną dominującą przez dwie dekady. Nie buntować się, pogodzić.

Wydarzenie. Kijów, 2004 rok, największy triumf polskiej polityki wschodniej. To nie Polacy uruchomili i przeprowadzili Majdan, ale jak już się zdarzył, zrobili naprawę wiele, by się udało. Mnóstwo spontaniczności i działania *ad hoc*. Potem kremłowscy macherzy nie chcieli uwierzyć, że to „z marszu było”. Jakby ktoś pragnął potwierdzić w historii, że grunt to serce. Ale od tej pory dla Moskwy stało się jasne, że muszą nas potraktować poważnie, jak przeciwnika. I potem wielki zawód: pomarańczowi wszystko zmarnowali, a Europa się przestraszyła, że wciągamy ją tam, gdzie nie chce. Fatalne w skutkach poparcie planu Wiktora Juszczenki przystąpienia Ukrainy do NATO – jedynie my mogliśmy mu to wyperswadować, właśnie po to, by Ukraina miała szansę na stopniowe i bezkolizyjne zbliżenie z Zachodem. W rezultacie okazało się to gwoździem do trumny. Efekt: Ukraina nie ma szans na

Kijów, 2004 rok – triumf polskiej polityki wschodniej. To nie Polacy uruchomili i przeprowadzili Majdan, ale zrobili wiele, by się udało. Mnóstwo spontaniczności i działania *ad hoc*. Potem kremłowscy macherzy nie chcieli uwierzyć, że to „z marszu było”.

NATO i przy okazji na UE, ma natomiast narastającą, coraz groźniejszą (gaz, mniejszości) presję Rosji, a Zachód umywa ręce. Porażka.

Idee. Bardzo ciekawe zderzenie w ostatnich paru latach. Paweł Kowal wywołuje duchy dawno zapomnianych przodków i powstaje polityka prometejska w nowym wydaniu, realizowana przez prezydenta Kaczyńskiego: my ze wszystkimi, którzy mają kłopot z Rosją, i przeciw niej (jawnie!). Jeśli Zachód nas w tym nie popiera, to także przeciw niemu. Z drugiej strony minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski mówi: siedzimy w głównym nurcie europejskiej polityki, on nas przyjemnie obmywa, ale jeśli popłynie (nurt znaczy, nie minister) w stronę Rosji – uznajemy realia. Obydwie idee wcielane naraz. Może lepiej, gdyby nie było żadnej? Eee, przesada.

Człowiek. Zdzisław Najder. Krystaliczność sądów. W dyskusji refleks szermierza. Bezgraniczna ideowość starej daty i współczesny pragmatyzm, aż czasem boli. Bez jego sądów wyrażanych przez ostatnie dwadzieścia lat polska polityka wschodnia byłaby jak Polki w opinii Bogusława Radziwiłła: „Kozuchami je czuć”. Wielka wdzięczność.

Wydarzenie. Gruzja 2008. Wielki niepokój.

Bartłomiej Sienkiewicz – analityk, współtwórca
Ośrodka Studiów Wschodnich.



Najważniejszy kapitał: zaufanie

Aleksander Smolar

Stosunkowo łatwo jest zestawić listę osiągnięć III Rzeczypospolitej w polityce wschodniej po 1989 roku. Jeżeli pominiemy ideologiczną retorykę z lat 1989-2005, przejawiającą się między innymi w oskarżeniach polskich władz o uległość oraz zaniedbania tu i ówdzie, otrzymamy symboliczną listę aktów, które pokazują skupienie uwagi kolejnych polskich rządów na naszych sąsiadach oraz świadomość ich wagi strategicznej dla Polski: ze względu na historię i przeszłe związki, interesy gospodarcze, polityczne i kulturowe, oraz przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo i stabilność naszych granic.

Kiedyś Timothy Garton Ash napisał, że Niemcy, jeśli mają być normalnym, stabilnym krajem demokratycznym, muszą mieć Zachód nie tylko za swymi zachodnimi granicami, ale i za wschodnimi. Podobna jest nasza logika w polityce: chcemy mieć za wschodnią granicą kraje przyjazne i jak najbardziej zokcydentalizowane.

Na liście naszych osiągnięć, z których jesteśmy – i słusznie – dumni, najjaśniejszymi gwiazdami jest udział Polski w pomarańczowej rewolucji. Nadzwyczajny, ze względu na zaufanie Ukraińców z różnych obozów, ze względu na konstruktywną rolę, jaką Aleksander Kwaśniewski i inni Polacy wówczas odegrali, pokazując zdolność do zawierania kompromisów i cierpliwość – cnoty, które w sprawach wewnętrznych często trudno znaleźć. Ostatnie wybory, zupełnie już normalne i demokratyczne, pokazały, jak wielkim osiągnięciem była owa rewolucja, nawet jeżeli dziś skłonni jesteśmy widzieć raczej ciemne strony ukraińskiej polityki.

Jeżeli polscy politycy mogli odegrać tak wielką rolę w kluczowym momencie krótkiej historii ukraińskiej wolności i demokracji, to dlatego, że Ukraińcy mieli do Polaków i Polski wielkie zaufanie. I tu chciałbym przenieść ciężar moich uwag ze spraw zagranicznych na wewnętrzne. Bo wiem to, co się działo najważniejszego w naszej polityce wschodniej, w istocie miało źródło w tym, co zachodziło na terenie samej Polski. Tym czymś najważniejszym było uznanie równoprawności naszych sąsiadów, uznanie ich terytorialnej integralności, rezygnacja, jako coś oczywiste, z jakichkolwiek polskich rewindykacji terytorialnych wobec niepodległych Ukrainy, Białorusi, Litwy. Roman Szporluk, wybitny historyk ukraińsko-amerykański, powiedział kiedyś na konferencji w Polsce, że bez poczucia bezpieczeństwa ze strony Polski – jej intencji, jej polityki wobec niepodległej Ukrainy – niepodległa i demokratyczna Ukraina w 1991 roku by nie powstała. Strach przed Polską i przed polskimi rewindykacjami pchałby ten kraj w objęcia Moskwy.

Dlaczego Polacy zachowali się tak rozumnie? Dlaczego nie było żadnej partii, która domagałaby się powrotu do Polski Lwowa i Wilna? Dlaczego nie było żadnej znaczącej postaci publicznej formułującej hasła, które mogłyby brzmieć groźnie dla naszych wschodnich sąsiadów? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, ale jestem pełen admiracji.

Na pewno była w tym zasługa Jerzego Giedroycia i paryskiej „Kultury”, jej wielodziesięcioletniej edukacji polskich elit. Ale znów bez przesady. Mały, elitarny, emigracyjny miesięcznik nie mógł mieć aż takiego wpływu. Na pewno w kościach u nas, jak w całym świecie postsowieckim, był strach przed przemocą, wojną, konfliktami. Za dużo tego było w poprzednich dziesięcioleciach. Na pewno była świadomość nieodwołalnych zmian historycznych, geograficznych, demograficznych, które zaszły w czasie powojennych dziesięcioleci. Na pewno była też geopolityczna

Polacy odegrali wielką rolę w kluczowym momencie krótkiej historii ukraińskiej wolności dlatego, że Ukraińcy mieli do nas zaufanie. Nasz największy wkład w rozwój wschodnich sąsiadów zawiera się w tym, że stanowiliśmy dla nich od początku przyjazne i bezpieczne zaplecze.

świadomość korzyści, jakie może odnieść Moskwa z jakichkolwiek konfliktów Polski z sąsiadami. Na pewno odgrywała też rolę świadomość, że Zachód, do którego chcieliśmy jak najszybciej dołączyć, żadnych rewindykacji terytorialnych w naszym regionie by nie zaakceptował. Cały powojenny ład europejski opierał się na uznaniu niezmienności granic. Niepodległość Kosowa była w istocie pierwszym z tej reguły wyłomem w powojennej Europie.

Na pewno każdy z tych czynników i wiele innych odegrało rolę. Ale przecież wiemy, że rozum rzadko bywa motorem historii. Był też w postawie polskiego społeczeństwa i elit jakiś spontaniczny wybór, mądrość, która współgrała z interesami Rzeczypospolitej. Nasz największy wkład w rozwój i szansę pozytywnej ewolucji wschodnich sąsiadów w tym właśnie się zawierał, że od początku stanowiliśmy dla nich przyjazne, bezpieczne, otwarte zaplecze. Rzecz bardzo ważna, nawet jeżeli poza tym mieliśmy i mamy im dość mało do zaoferowania.

Aleksander Smolar – prezes Fundacji im. Stefana Batorego.



Dobrze, że jest

Marcin Wojciechowski

Nie ukrywam, że jestem sentymentalnym, ale także pragmatycznym zwolennikiem obecności pojęcia „polityka wschodnia” w polskim myśleniu o sprawach zagranicznych. Za największy sukces polskiej polityki wschodniej ostatnich dwudziestu lat uznałbym samo wprowadzenie tego pojęcia do naszego języka politycznego.

Polskie zaangażowanie na Ukrainie nie jest błędem, choć słyhać takie głosy. Należy się po prostu uzbroić w życzliwą cierpliwość.

Od razu wyjaśnię, co znaczy w moim przypadku „sentymentalny”. Nie chodzi o żaden sentyment do Kresów, idei prometejskiej czy misji cywilizacyjnej polegającej na przeciąganiu wschodnich sąsiadów Polski do świata zachodniego. Mój sentymentalizm polega na wierności i podziwie dla idei paryskiej „Kultury”, która zdołała obalić jeden z kluczowych polskich mitów – mit polskich Kresów, oraz konfrontacyjnej, całkowicie błędnej polityki polonizacyjnej wobec mniejszości narodowych, prowadzonej przed 1939 rokiem.

Na podstawie gorzkiej analizy sytuacji w dwudziestoleciu międzywojennym Jerzy Giedroyc uznał, że bagażem dla wolnej Polski będzie brak koncepcji ułożenia stosunków z narodami za polską wschodnią granicą. W Polsce komunistycznej mało kto za-

przątał sobie głowę Litwinami, Białorusinami czy Ukraińcami. Za wschodnią granicą był jeden, raczej nieulubiany wielki brat, którego kojarzono z Rosją i nie wglębiano się w szczegóły, że to nie takie proste. Ale gdyby nie było idei Giedroycia, to po odzyskaniu niepodległości kwestia polityki wschodniej tak czy inaczej wypłynęłaby na wierzch. Być może, gdyby nie dorobek „Kultury”, pojawiłyby się pokusy, by stosunki z nowo powstającymi państwami na Wschodzie budować w duchu endeckim, wrogim, rewizjonistycznym, konfrontacyjnym, nieuznającym ich aspiracji niepodległościowych i prawa do ziem znajdujących się do 1939 roku w granicach II Rzeczypospolitej.

Giedroyc podał na tacy polskim elitom rządzącym w latach dziewięćdziesiątych coś, co było gotowym produktem do wykorzystania i czego – na szczęście – poza marginalnymi grupami nikt nie kwestionował. To wielki sukces, który pozwolił III RP nie powtórzyć błędów z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku.

Jeśli chodzi o inne kwestie, to przeszkadza mi nadmierne skupianie się w polityce wschodniej na sprawach historycznych. Wydaje mi się, że na początku prezydentury Władimira Putina była możliwość załatwienia z Rosją spraw historycznych, gdyby nie upierano się, by Moskwa uznała zbrodnię katyńską za ludobójstwo, na co naciskał polski IPN. Kategoria zbrodni wojennej, na którą była gotowa przystać rosyjska prokuratura wojskowa, wydaje się odpowiednia. Podobnie drażni mnie jednostronność prezentowana przez polskie środowiska prawicowe i kresowe w kwestiach historycznych z Ukrainą. Nie można domagać się potępienia tragedii wołyńskiej, nie uznając wcześniej, że przez wieki to Polska powstrzymywała słuszne aspiracje Ukraińców.

Po pięciu latach widać, że pomarańczowa rewolucja nad Dnieprem – wydawałoby się, najbardziej wymierny sukces polskiej polityki wschodniej ostatnich lat – przynosi niejednoznaczne owoce. Złudzeniem było przekonanie, że to zwieńczenie demokratycznej i modernizacyjnej drogi Ukraińców. Dziś widać, że to dopiero początek, a droga ta będzie długa, kręta, a jej finał niepewny. Ale to nie znaczy, że polskie zaangażowanie na Ukrainie jest błędem, choć coraz częściej słychać takie głosy. Wobec Ukrainy należy się po prostu uzbroić w życzliwą cierpliwość.

Otwiera się natomiast szansa na pogłębienie współpracy z Białorusią, której Polska nie powinna zmarnować. Warto inwestować w tę współpracę, choć jej wynik może być bardzo niepewny, bo Łukaszenka może traktować zbliżenie z UE czysto instrumentalnie.

Ogólnie nie należy oczekiwać w polskiej polityce wschodniej spektakularnych sukcesów, a raczej nastawić się na długi marsz. Partnerstwo Wschodnie w ramach Unii Europejskiej wydaje się idealnym środkiem do realizacji tej strategii. Polityka wschodnia powinna być elementem polskiej strategii niezależnie od tego, kto aktualnie rządzi. Cieszę się, że na razie tak jest.



Eurostandard

Marek Ziółkowski

Żaden z krajów Europy Wschodniej, o którego członkostwo w NATO czy UE zabiegaliśmy, do tych organizacji nie wszedł, a na dodatek nie stanie się to szybko.

Jednym z wątków i ambitnych zamierzeń polskiej polityki wschodniej (może nie od 1989 roku, lecz nieco później) było zmniejszanie dystansu naszych wschodnich sąsiadów do Europy. Oczekiwany sukcesem tej polityki, na razie niespełnionym, miało być wciągnięcie kilku z nich (Ukraina, Gruzja, Mołdawia) do Unii Europejskiej i NATO.

Na razie mamy w tej dziedzinie, oględnie mówiąc, stan gry pozycyjnej. Ze strony dyplomacji brukselskiej zazwyczaj padają zapewnienia, że NATO czy Unia Europejska mogą zrobić dla tych krajów tyle, na ile kraje Europy Wschodniej będą w stanie spełnić nasze wymagania. Gruzini czy Ukraińcy mówią natomiast, że zarówno NATO, jak i UE wciąż przedkładają ich krajom zbyt skąpą ofertę. Pozostaje wrażenie mniej lub bardziej sprecyzowanego dystansu, czegoś podobnego już nie do twardej, szczelnej „żelaznej kurtyny”, lecz przepuszczalnej, prawie niewidocznej kurtyny „aksamitnej”. Takie określenie stanu stosunków Zachodu Europy ze Wschodem stało się popularne na przykład na Ukrainie po wejściu Polski do UE w 2004 roku.

Polska, znajdując się w czasie i przestrzeni pomiędzy Unią Europejską i NATO z jednej strony a Europą Wschodnią z drugiej, a także już po wstąpieniu w struktury zachodnie, była i pozostaje jednym z najaktywniejszych krajów naszego kontynentu wspierających proeuropejskie aspiracje społeczeństw jego wschodniej części. Bywały momenty, w których Polska była organizatorem europejskiego myślenia o Europie Wschodniej czy nawet politycznych akcji (wsparcie udzielone pomarańczowej rewolucji). Co ważniejsze, to przede wszystkim Polska skutecznie wpływała na zapoczątkowanie już w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku stałego procesu wkomponowywania krajów Europy Wschodniej w strategiczną mapę interesów UE i NATO, drażniąc nieco niektóre kraje europejskie pożądanym tempem formułowania konkretnej oferty.

Ocena wyników tych starań wymaga specjalnej rozważki. Żaden z krajów Europy Wschodniej, o którego członkostwo w NATO czy UE zabiegaliśmy, do tych organizacji nie wszedł, a na dodatek nie stanie się to szybko. Co pozostaje w zamian? By odpowiedzieć na to pytanie, warto może rozszerzyć perspektywę. Miarą naturalnych związków różnych regionów świata w dobie globalizacji są przeróżne regionalne umowy gospodarcze i twory wielopaństwowe. Wydaje się, że na szczęście

w stosunkach z Europą Wschodnią osiągnęliśmy znacznie więcej, że wszystkie owe Action Plans i instrumenty polityki sąsiedztwa są znacznie bogatsze niż globalizacyjne minimum wspólnego rynku. Notabene, w Europie Wschodniej zwiastuny globalizacji na początku lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia były bardzo zeuropeizowane poprzez napływ europejskich towarów. Neologizmy, dzięki którym Europa zapanowała na tych terenach (*eurostyl, eurocar, europauna, euroromantyzm, eurocafe* itd.), są uzupełnione równie trwałym mechanizmem różnych umów i polityczno-handlowych propozycji, jak między innymi ostatnia polsko-szwedzka inicjatywa Partnerstwa Wschodniego.

Nie jest jeszcze jasne, czy ta diagnoza oznacza po prostu, że droga tych krajów do UE będzie dłuższa, czy może czekają nas jakieś poważniejsze komplikacje. Dla Polski oznacza to zadanie skracania tej drogi i nadawania *eurostandardowi* bardziej precyzyjnego gospodarczego i politycznego znaczenia.

Marek Ziółkowski – ambasador RP w Kijowie w latach 2001-2005.

